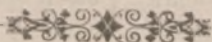


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Polowanie dzikich Indyan.

Polowanie dzikich Indyan.

Dzikie plemiona, zamieszkujące Amerykę, żyją prawie wyłącznie z polowania. Nie uprawiają ziemi, nie zasiewają zboża, chociaż grunt mają tam wszędzie niezmiernie urodzajny, tylko ustawicznie uganiają się za zwierzyną. Nie umieją oni nawet wyobrazić sobie odmiennego istnienia i większego szczęścia, jak powodzenie w polowaniu, to też utrzymują, że dusze ich po śmierci przechodzą do krainy błogosławionej, gdzie jest niesłychana obfitość dzikiego zwierza i gdzie z wiel-

ką łatwością polować nań można. Biedni ci ludzie nie pragną innej nagrody w drugiem życiu.

Niektóre plemiona amerykańskie mają broń palną, którą od Europejczyków nabywają i umieją się z nią obchodzić, jeżdżą na dzielnych koniach, polują też prawie tak samo, jak i ludzie cywilizowani. Ale niektórzy dotąd jeszcze tylko w łuki i strzały zatrute są uzbrojeni, muszą też rozmaitych dowcipnych sposobów używać, aby się zbliżyć do upatrzonej zwierzyny. Najczęściej przebierają się w skóry rozmaitych stworzeń, jeleni, wilków i innych, a udając je, podsuwają się pomaleńku do pasących się zwierząt, oszukując ich czujność.

Rycina nasza przedstawia dwóch Indyan przebranych w skóry wilcze, mierzących do żubrów, które spoglądają na nich z podziwieniem, spostrzegłszy zapewne, że to są niezwykle jakieś wilki. Zwabione tą ciekawością, przybliżają się coraz więcej, a myśliwym o to tylko idzie; strzała zatruta, byle trafiła do celu, zabija niechybnie najsilniejsze zwierzę.

Czasem znów dzicy okrywają się tak samo skórą łabędzią i pływając po jeziorze lub rzece, chwytają wodne ptactwo, które bez najmniejszej obawy zbliża się do mniemanego łabędzia. Krajowcy afrykańscy polują takim samym sposobem na strusie.

Zosi R.....

w dzień urodzin.

Kto już skończył lat dziewiątek,
Przeżył znaczny życia wątek,
Wię, przynajmniej, znać powinien,
Co Bogu, co bliźnim winien,
I gorącym sercem wierzy,
Jako ich kochać należy.

Lecz za ledwie jeden skok,
Skończy się dziesiąty rok,
I jak gdyby z bicia trzas,
Przemienie dziecięcy czas,
Zawita długa sukienka,
Z małej Zosi... już... panienska.

Dziecko moje! czy ty wiesz,
Kędy dążysz? śpiesz się... śpiesz!
Nim te piękne zejda lata,
By główka była bogata,
Dusza w cnoty przystrojona,
W wiare, miłość umocniona
Abyś, kiedy już na wieki,
Przymkna się moje powieki,
Wspomniała w modłach do Boga:
To była ojca przestroga!

W. R.

31 Sierpnia 1883 r.

Obrazki z dziejów starożytnych,

skreślone przez starego nauczyciela.

I.

Wielki król Menes.

Słońce weszło jasno ponad doliną Nilu, palące jego promienie, jak strugi roztopionego złota unoszą się na falach rzeki, w przejrzystych wodach

przegląda się ciemny błękit nieba. Nil płynie spokojnie, majestatycznie, szerokiemi korytami, w powietrzu cisza, najłżejszy wietrzyk nie porusza długich liści drzew palmowych, rosnących na wybrzeżu, ani szeleści wśród trzciny wysokich. Po obu stronach rzeki ciągnie się rozległa równina, smętna, szara, jakby popiołem usypana. Grunt zeschnięty, spieczony upałem, popękał gdzieniegdzie, a głębokie te szczeliny, jakby odsłonięte wnętrzności ziemi, zdają się niema skargę zanosić do nieba o odrobinę dżdżu, o kropelkę dobroczynnej rosy.

Po lewej stronie Nilu postępuje dwóch ludzi. Muszą się śpieszyć, gdyż idą szybko, czoła ich są uznojone, a suknie pokryte kurzawą. Jeden z tych podróżników, starzec sędziwy, ma białą, długą szatę, białe przykrycie głowy, okalające czoło i spływające na ramiona, na nogach lekkie obuwie z cieniutkiej kory papyrusowej, w ręku trzyma długi kij z białego drzewa. Twarz jego chuda, zeschnięta, wygolona starannie, za życia już wygląda, jakby martwa mumia, ale oczy czarne żywym ogniem błyskają, a w ruchach, w postawie wyniosłość i dumnie wyprostowaną, znać jeszcze dużo siły i energii, pomimo podeszłego wieku.

Drugi podróżnik jest to człowiek młody, wysoki i kształtny, ma on na sobie strój wojownika, rodzaj pancerza z lamparciwej skóry i takiż hełm na głowie, w jednej ręce trzyma długą włócznię, w drugiej tarczę drewnianą, skórą obciągniętą.

— Spocznijmy tu, ojczu — rzecze wojownik do starca, wskazując mu gromadkę palm przy drodze — mamy czas jeszcze, oto Memfis, *dobre mieszkanie* *) króla Menesa, ukazuje się w oddali; zdążymy w samą porę na uroczystość.

Mówiąc to, wskazywał w stronę, gdzie na samym krańcu widnokregu, na szafrowym tle nieba, rysowały się białe mury ogromnych budynków.

— Tak, tak, widać już Memfis — mówił starzec, opierając się na kij i spoglądając na miasto oddalone — oczy moje stare, lecz nie straciły jeszcze młodzieńczej bystrości, tylko nogi coraz więcej słabnąc zaczynają. Spocznijmy więc nieco; spokojniejszy już jestem, bo widzę ztąd dobrze wielką świątynię, tam dziś ofiary składać będziemy.

Dwaj podróżni usiedli na dużym kamieniu w cieniu drzew palmowych; po chwili rzekł starzec, rozsypując zeschniętą ziemię końcem swego kija:

— Patrz, synu, ta ziemia nie wydałaby ani ździebełka trawy, rozsypywałaby się wiecznie tak samo, jak piaski białe tam daleko, na libijskiej

*) Nazwa Memfis znaczyła w języku starożytnych Egipcyan dobre mieszkanie.

pustyni, gdyby jój woda nie zwilżyła. Rolnik przechowuje ziarno w śpichrzu i czeka z utęsknieniem, bo teraz darmoby je zasiewał, ziemia nie utuli w swém łonie nasion rodzajnych, nie da im życia, bo sama jest martwa, wypalona, jak glina w piecu garncarza.

— Ale nie długo już, ojcze, niedługo potrwa ta susza — odrzekł wojownik — dziś jeszcze w całym kraju zabrzmiały głosy radosne, gdy kapłani obwieszczają ludowi, że chwila pożądana się zbliża; spełni się cud nad cudami, woda wystąpi z łożyska swojego, rozleje dokoła, pokryje ziemię czarnym, życiodajnym osadem. I przyjdzie rolnik, poruszy miękki grunt ostrym narzędziem, zasieje ziarno, spędzi trzody liczne, aby je wdeptały w rolę, a wkrótce ta naga, ogołocona równina pokryje się runią zieloną. Wszak sam widziałeś, ojcze, płomienne oblicze boskiego posła, wzrok twój omylić się nie mógł.

— O, nie; widziałem go tak wyraźnie, jak widzę mury świątyni w tej chwili. Stałem na wierzchołku wzgórza, odmawiałem modlitwy po dopełnieniu obmywania, noc była cicha, śledziłem jak zwykle ruchy gwiazd na sklepieniu niebios, znam dobrze wszystkie szlaki, któremi bieżą, od tyłu lat na nie patrzę. Utonąłem wzrokiem na wschodnim krańcu firmamentu, z kąd miało wkrótce wypłynąć wspaniałe słońce nowonarodzone i zagasić wszystkie gwiazdy na niebie. Wtém nagle ujrzałem upragnionego gościa, wynurzał się zwolna z podziemnych otchłani, uprzedzając wschód słońca i zajaśniał blaskiem nieporównanym, wszystkie gwiazdy przy nim pobladły; tak, on to był, boski Sothis *), pies wierny krainy Khemi **). Wszyscy kapłani widzieć go musieli, wszędzie też gotują się uroczystości dziękczynne. Spieszmy, synu, spieszmy, nie godzi się kapłanowi w dniu tak ważnym przebywać z daleka od świątyni.

— Bądź spokojny, ojcze — odrzekł wojownik, powstając i postępując za sędziwym kapłanem — w samą porę staniemy u wrót Memfis. Wszakże obowiązkom swoim nie uchybiłeś, oddalając się od świątyni dla spełnienia rozkazów króla Menesa i zapewne...

*) Sothis, czyli pies, była to nazwa egipska świetnej gwiazdy Syryusza, która w czasach dawniejszych pojawiała się tam na widnokręgu przy końcu Czerwca, zwiastując upragniony wylew Nilu. Uroczystości i święta a było ich bardzo dużo w Egipcie, obchodzono na uczczenie różnych zjawisk niebieskich. I tak: święcono porównanie dnia z nocą, przesilenie, odmiany księżyca. Pierwsze ukazanie się Syryusza było bardzo wielkim świętem.

**) Egipcyanie nazywali kraj swój Khemi, to jest ziemia czarna, gdyż po wylewie Nilu grunt pokrywa się czarnym szlamem.

— Nie rozkazy — przerwał starzec wyniośle — lecz prośby króla spełniłem, opatrując kamienie, przygotowane na nową świątynię. Wiem ja, że Menes, przywłaszczywszy sobie władzę najwyższą w całym kraju, rozkazuje już nawet i kapłanom; ale ja jestem za stary, abym do tego mógł przywyknąć, nie tak to łatwo zapomnieć o tém, że od czasów niepamiętnych, my to, kapłani, panowaliśmy po wszystkich miastach, a wojownicy byli nam poddani. Ja sprzyjam Menesowi, wszak jest moim krewnym, tak samo, jak i ty, przez najmłodszą moją córkę, która zaślubiła wojownika *), niemniej jednak ze smutkiem patrzę na te zmiany.

— Jako, ojcze! — zawołał młody wojownik z żywością — ze smutkiem patrzysz na wielkie rzeczy dokonane przez króla? Wojsko całe uwielbia go i czci, jak bóstwo.

— Nic dziwnego — rzekł kapłan półgłosem — bo też wyniósł stan wojowników nad wszystkie stany, dał im władzę, i moc, i bogactwa.

— Rozważ sam, ojcze — mówil tamten — ile korzyści przyniosło chwalebne panowanie Menesa. Gdy każde miasto miało osobnego pana, żadne nie mogło się wznieść do takiej potęgi, jaką dziś posiada król Menes. Któryż z tych władców był w stanie budować takie gmachy, takie twierdze, świątynie, jakie on wznosił obecnie w Memfisie? Menes nawet wodom rzeki rozkazuje, nie pozwolił im zalać swojej stolicy, zbudował tamy i wody w inną stronę odwrócić się musiały.

— Dobrze to jest — rzekł kapłan — że Menes lud przyzwyczaja do pożytecznej pracy, dobrze, iż stawia piękne świątynie, pamiętając o tym, który jest większy od niego i na władzę nawet i nad nim.

— Nikt nie ma władzy nad królem Menesem — mruknął młody wojownik, wzruszając ramionami — on jest panem najwyższym, równym bogom, on rozkazuje niezliczonemu ludowi i rozhukanym wodom rzeki, lecz sam niczyjego nie zna rozkazu.

— Nie rozprawiaj o tém, czego nie pojmujesz — odparł kapłan sucho i wyniośle — twoją rzeczą jest wojować, wywijać mieczem i dzidą, nie możesz rozumieć tajemnic boskich, nam tylko, kapłanom, one są dostępne, bo my rzeczy boskie sprawujemy w świątyniach.

Wojownik nie nie odpowiedział, nie śmiał sprzeczać się z sędziwym kapłanem, a ten nie miał ochoty wdawać się w tłumaczenia, obaj więc

*) U Egipcyan nie było nigdy kast ściśle rozgraniczonych. Zwykle syn po ojcu dziedziczył stan kapłana lub wojownika, ale zdarzało się, że wojownik zaślubił córkę kapłana, a kapłan córkę wojownika, można też było przy szczęśliwych okolicznościach wynieść się ze stanu niższego na wyższy.

w milczeniu postępowali dalej, a ż weszli w bramy Memfis. Ruch niezwykły panował w mieście: gromadki ludzi przeciągały po ulicach, wszystkie twarze były ożywione i rozjaśnione; snąc wieść radosna o ukazaniu się upragnionej gwiazdy wszędzie się już rozniosła. Na widok kapłana w białych szatach wszyscy okazywali wielkie uszanowanie i ustępowali mu z drogi; on dążył śpiesznie do swojego mieszkania przy świątyni, przed rozpoczęciem uroczystości musiał obmyć się starannie z podróżnej kurzawy i włożyć świeże szaty. Towarzysz jego zwrócił się w inną stronę, spotkał gromadkę wojowników i wraz z nimi udał się do pałacu Menesa.

Orszak królewski wychodził właśnie z bram pałacowych, zmierzając zwolna ku świątyni. Naprzód postępowali trębacze, dmąc hucznie w rogi i trąby, za nimi szedł liczny oddział żołnierzy, wszyscy byli odziani w skóry, mieli w rękach tarcze i dzidy. Potem dwunastu czarnych niewolników niosło na ramionach rodzaj lektyki, przykrytej przepysznyimi skórmi zwierzęcymi i takimże baldachinem; spoczywał tam na miękkim usłanem siedzeniu król Menes, przybrany tak samo, jak wojownicy jego, w pancerz z lamparciój skóry, ale miał po wierzchu długą, fałdzistą szatę, a na głowie kołpak wysoki, oznakę królewskiej godności. Lektykę otaczało liczne grono krewnych króla i urzędników dworu, przyłączył się też do nich młody wojownik, któregośmy spotkali w towarzystwie sędziwego kapłana. Na końcu szedł znowu oddział wojska.

W wielkiej świątyni brzmią pieśni nabożne, kapłani w śnieżnych szatach odprawiają modły i składają ofiary z mleka, miodu, owoców i ziół pachnących. Dzień ten jest świętem radości, Sothis, zwiastun wylewu Nilu, ukazał się na niebie, ziemia Khemi nie dozna głodu. Król Menes modli się razem z kapłanami, wraz z nimi składa ofiary, żaden król przed nim nie miał prawa tego czynić, lecz on większym jest, potężniejszym od dawniejszych królów, a kapłani nie śmieją mu się opierać. W świątyni niema żadnych posągów z drzewa lub kamienia, żadnych wyobrażeń bóstwa *), kapłani nie wymawiają żadnego imienia, składając ofiary i dziękczynienia, lecz takie hymny śpiewają:

„Bóg jest jeden, sam, jedyny; tysiące istot od niego pochodzi. Zdziałał on wszystko, lecz sam jeden nie był działywany. Utworzył niebo, utwo-

rzył ziemię, uczynił wszystko, co istnieje. O ty! który jesteś stwórcą pełniści świata, rządcą dni; tyś jest wielkim sprawcą gwiazd niezliczonych, one cię wysławiają; tyś stwórcą wspaniałego rodu potęg, książąt i wodzów; tyś podstawą sądu, tyś najświętszy, który skazuje przestępców; tyś sam dla siebie królem i praw obrońcą. Sam jesteś sędzią spraw wszelkich, jesteś, który jest! Chwała obliczu twemu, który pełnią świata utkałeś, Boże Najświętszy, Panie wszystkiego, co ma w sobie technienie. Jesteś Panem, którego lękają się ziemię wszystkie, Najświętszym w krainie światłości!“ *)

Takie wzniosłe pienia brzmią w przybytku, a lud, zgromadzony tłumnie dokoła świątyni, słyży śpiewy, lecz nie zważa na wyrazy i nie pojmuje ich wcale. Nikt mu nie opowiada nigdy o Bogu wielkim, jedynym, stwórcy wszechrzeczy, kapłani dla siebie zachowują te pojęcia. Lud raduje się tylko wieścią upragnioną, że Sothis się ukazał, że Nil wyleje wkrótce, odwilży zeschlą ziemię, a rolnik obfite zbierać będzie plony. W radości swój, lud ten ciemny gotów jest czcić jak bóstwo, i Nil, co ziemię jego użyźnia, i słońce, co ją ogrzewa swemi promieniami, i nawet tę świetną gwiazdę, co pomyślną wieść zwiastuje.

Kończy się wreszcie nabożeństwo w świątyni; król Menes, niesiony na rękach niewolników, powraca do swojego pałacu, tam w wielkiej sali zastawiono już ucztę wspaniałą. Synowie króla, krewni jego, najznakomitsi urzędnicy dworscy, wodzowie, gromadzą się dokoła stołu królewskiego. Menes zasiada na wysokim tronie, pod baldachinem wspaniałym. Niewolnicy trzymają w rękach duże pęki piór i powiewają niemi dla odświeżenia powietrza; inni wnoszą na głowach ogromne dzbany gliniane, napełnione słodkim miodem i sokiem winnej macicy. Grajkowie przygrywają na instrumentach muzycznych, tancerki pływają wesoło dla nciechy króla i jego gości, śpiewacy i śpiewaczki nucą pieśni, wysławiają wielkie czyny Menesa, jego chwałę i potęgę.

Wielki, potężny jest król Menes! On jak lew ryczący zstępuje z miasta Tinis, jak jastrząb spada na nieprzyjaciela; wojsko jego liczniejsze od ziarnek ipsisaku na pustyni, korzą się przed nim królowie, miasta poklon mu oddają, wojsko nieprzyjacielskie ściele się pod nogami jego, jak kłosa pod sierpem żniwiarzy.

Wielki, potężny jest król Menes! Jak słońce jedno świeci na niebie, tak on sam jeden panuje w krainie Khemi od końca do końca. Król kroczy na

*) Takie były rzeczywiście najdawniejsze świątynie egipskie, odszukane wśród zwalisk Memfis. Wnoszą ztąd historycy, że Egipcjanie w początkach Boga tylko jednego znali i cześć mu oddawali, później dopiero ztratili to pojęcie i zaczęli wyrabiać rozmaite dziwaczne bóstwa.

*) Cały ten ustęp wypisany jest dosłownie z bardzo starożytnego papyrusu egipskiego.

czele swoich wojowników, za nim idą jeńców gromady, znoszą kamienie i mury budują. Stańło miasto wielkie, dobre mieszkanie króla, i świątynie, i twierdze mocne. Podniosły się wody rzeki i chciały wkroczyć do miasta, aby potęgę króla poniżyć. On pokonał rzekę, postawił zaporę silną i rzekł wodom: Nie pójdziecie dalej!

Wielki, potężny jest król Menes! Żadna moc go nie pokona; nie zwycięży go, ani ziemia, ani niebo. On silniejszy jest od wichrów, od wody rozhukanój, silniejszy od ludzi i od zwierząt wszelkich. On synem jest boskim, on sam jest bogiem!

A Menes słuca z upodobaniem tych pieśni i wierzy, że jest równy bóstwu, że sam jest bóstwem. Więc rozkazuje, aby każdy, kto się zbliża do tronu królewskiego, padał na twarz i taką cześć wyrządzał królowi, jaka się bogom wyrządza w świątyni.

Po skończonej uczcie król Menes wychodzi do ogrodu orzeźwić się chłodem wieczornym. Nikt nie śmie iść za królem, sam więc przechadza się pośród rozkosznych drzew i kwiatów. Za ogrodem ciągnie się zwierzyniec, stada oswojonych antylop pasą się na łąkach, mnóstwo pięknego ptactwa żywi się ziarnem, rozsypaném przez niewolników. W sadzawkach pływają ryby, na stół królewski przeznaczone.

Król szybkim krokiem przebiega ogrody, zwierzyńce, potrzebuje on ruchu, znużyły go długie uroczystości dnia tego, głowa mu trochę cięży po sutěj uczcie, na której nie żałował sobie jadła i napoju. Idzie ciągle, nie zatrzymując się i wychodzi za bramy pałacowe, i za bramy miasta; słońce zachodzi, cisza zalega dokoła, zdaleka tylko dolatuje głuchy szmer fali; rzeka płynie dotąd spokojnie, chociaż powierzchnia jěj widocznie już wzdymać się zaczyna. Ten szmer przyciszony tak mile pieści ucho królewskie, powiew wieczorny tak go orzeźwia, że niema ochoty powracać i zatrzymuje się dopiero na wybrzeżu.

Cóż to za szelest odzywa się nagle wśród trzciny nadbrzeżnych? Król nie zważa na to wcale, może który z żołnierzy przybocznej straży widział go idącego w tę stronę i szedł za nim niepostrzeżenie, aby być w pogotowiu na rozkazy. O, gdybyż straż przyboczna mogła odgadnąć, jak straszliwe niebezpieczeństwo zagraża w tej chwili królowi! On sam nie przeczuwa go wcale, pogrążony w myślach, marząc zapewne o swojej wielkości, stoi nieporuszony na piasku nadbrzeżnym; a wtém krzyk wyrwa się z jego piersi, ból straszliwy przytomność mu prawie odbiera, pada na ziemię, uderzając głową o ostry kamień. Straszny powód, krokodyl nilowy przypelzł niepostrzeżenie,

pochwycił króla za nogę obnażoną i szarpie ją ostremi zębami.

Ale Menes jest silny i odważny, zrywa się i szuka u boku wiernego miecza; niestety! odparował go w czasie uczty, aby mu nie zawadzał, bezbronny jest, wydany na pastwę drapieżnego płazu, on, wielki, potężny król Menes, który pokonał tylu nieprzyjaciół! Dreszcz zimny go przejmuje, w oczach ciemnieje, a ręce mu omdlewają, krew strugą leje się z głowy zranionój i z nogi, której potwór nie wypuszcza z paszczy, kości chrzęszczą pod straszliwymi zębami. Król chwytą duży kamień, rzuca go w łeb krokodyla, kamień odskakuje, a zwierz z większą jeszcze zajadłością pożera żywcem swoją ofiarę.

Wtém dźwięki jakieś smętne, przeciągłe, odzywają się w pobliżu. Głos przyciszony nuci piosenkę; to nie jest pieśń tryumfu i chwały, lecz skarga żalonna. Niewolnik zbliża się w tę stronę, niewolnik, który nie zna święta ni uroczystości, pracuje w znoju we dni i nocy, teraz zapewne idzie po kamień lub po piasek biały nad rzekę. W tej rzewnój nucie wylewa on żale swoje, wspomina dom rodzinny, z którego go sroga ręka wyrwała, wspomina ojca i matkę, i braci, i siostry; życie jego jest taką niedolą, że żał po utraconej przeszłości jeszcze mniej mu sprawia boleści, niż myśl o obecnej chwili i o dalszém życiu.

Niewolnik słyszy jęki, odzywające się z wybrzeża, nie myśli o niebezpieczeństwie, on życie swoje za mało ceni, biegnie w tę stronę i w mroku wieczornym spostrzega człowieka w stroju wojskowym, walczącego z wodnym potworem. Gdyby mu kto był szepnął, że to sam król Menes wije się w strasznym bólu na piasku nadbrzeżnym, biedak ten byłby temu nigdy nie uwierzył. Nie domyślał się on wcale kogo ratuje, bo zapewne nigdy nie zbliżał się do królewskiego majestatu, ale wiedzony tēm uczuciem litości, które i w czasach najdawniejszych, tak samo jak dziś, wrodzone było sercu ludzkiemu, rzucił się na drapieżne zwierzę i pokonał je sposobem, jakiego i dziś używają krajowcy afrykańscy: przełamał kij, który miał w ręku i odwróciwszy na siebie uwagę krokodyla, skorzystał z chwili, gdy ten wypuścił z paszczy ofiarę i kij ten zręcznie wpakował mu w poprzek pomiędzy szczęki. Potém pochylił się nad rannym królem, który był tak wycieńczony cierpieniem, że zaledwie wyszeptać zdołał:

— Zanieś mię do pałacu, a otrzymasz swobodę.

Swobodę? niewolnik uszom swoim nie wierzył! on nigdy nie marzył o odzyskaniu swobody, zkaźeby teraz to niespodziewane szczęście miało spaść na niego? I w tej chwili dopiero zaczął rozmyślać

nad t \acute{e} m, kim m \acute{o} gł by \acute{c} ten wojownik, kt \acute{o} rego wyrwał z paszczy krokodyla? Nie umiał jednak odpowiedzie \acute{c} na to pytanie, o prawdzie ani mu si \acute{e} s \acute{n} iło, ale nie tracąc czasu, wziął ostrożnie kr \acute{o} la na barki i puścił si \acute{e} w drog \acute{e} . Jakż \acute{e} smutny by \acute{l} powr \acute{o} t Menesa w te same progi, z kt $\acute{o$ rych przed godziną zaledwie wychodził w tak odmienn \acute{e} m usposobieniu! Z jakąż goryczą myśle \acute{c} musiał, że on, mocarz wielki, zwycięzca kr \acute{o} l \acute{o} w, słabszym by \acute{l} i nędzniejszym daleko od owego niewolnika, kt $\acute{o$ ry mu podał pomocną r \acute{e} kę. Pomyślał może takż \acute{e} , iż ten niewolnik miał go w swojej mocy i gdyby chciał by \acute{c} okrutnym dla niego, jak on by \acute{l} nieraz okrutnym dla ludzi podobnych temu biedakowi, zgni \acute{o} łby go w mgnieniu oka, jak komara. Wiara w pieśni pochwalne, kt $\acute{o$ rych si \acute{e} nasłuchiwał dnia tego, musiała si \acute{e} w nim zachwia \acute{c} nakoniec.

Nie b \acute{e} dziemy opisywali zamieszania, jakie powstało w pałacu, gdy ujrzano kr $\acute{o$ la w takim stanie, ani zdumienia niewolnika, gdy si \acute{e} dowiedział, kogo wyrwał z paszczy krokodyla i przyni \acute{o} sł na barkach. Przypomni \acute{a} ł sobie, że kr $\acute{o$ l mu wolnoś \acute{c} obiecał, ale u kogo miał si \acute{e} o t \acute{e} wolnoś \acute{c} upomnie \acute{c} ? kt \acute{o} ż mu uwierzy?

Gdy on dumał nad t \acute{e} m, ukrywsi \acute{y} si \acute{e} w najciemniejszym kącie podw \acute{o} rza pałacowego, na pokojach kr \acute{o} lewskich zgromadziła si \acute{e} cała rodzina, kr $\acute{o$ lowa, synowie i córki Menesa, urzędnicy dworu, starsi wodzowie; posłano jaknajspieszni \acute{e} j po kapłan \acute{o} w, kt $\acute{o$ rzy znali si \acute{e} zarazem i na sztuce lekarskiej. Znajomy nam wojownik wpadł najpierwszy z krzykiem i lamentem do starca, kt $\acute{o$ ry by \acute{l} , jak wspominaliśmy, krewnym kr $\acute{o$ la i jego. Sędziwy kapłan z młodzieńczą żywością pobiegł do pałacu i stanął u ł \acute{o} ża Menesa. Opatrzył rany w milczeniu, pot \acute{e} m z żałością spojrz \acute{a} ł w wybladłe oblicze kr $\acute{o$ la, a ten s \acute{n} a \acute{c} wyczytał smutny wyrok z jego wejrzenia *).

— Wszystko skończone — rzekł — czuję, że życie uchodzi. Ojczy, zostaw to, ja wiem, że mi juź żaden balsam nie pomoże, lepiej si \acute{a} dź tu przy mnie i powiedz, co si \acute{e} stanie ze mną, gdy mi \acute{e} złożą w ciemnym i zimnym grobie? Mówiono mi, że jestem bogiem, ale bogowie nie umierają, a ja juź konam, jak każdy człowiek śmiertelny.

— Słuchaj mnie, synu m \acute{o} j Menesie — mówił starzec uroczyście. — Dawno, bardzo dawno, ojciec nasz Mizraim przyszedł z cał \acute{e} m pokoleniem swoim od wschodu słońca. W \acute{o} wczas wszyscy kapłani, wszyscy ojcowie rodzin, powtarzali słowa, kt $\acute{o$ remi niegdyś, dawniej jeszcze, w ow \acute{e} j wschodniej krainie przemawiał do ludzi B \acute{o} g wielki, jedyny,

stw \acute{o} rcza wszechrzeczy. My tego Boga dotychczas wysławiamy w świątyniach, i innych bog \acute{o} w ni \acute{e} ma, a człowiek śmiertelny nigdy bogiem by \acute{c} nie może. Ale z tych pięknych sł \acute{o} w Bożych dużo synowie Mizraima, nasi praojcowie, pozapominali, niekt $\acute{o$ re jednak przechowują si \acute{e} między sędziwymi kapłanami, takimi, jak ja. Młodzi dumni s \acute{a} z własnej mądrości i coraz wi \acute{e} c \acute{e} j rzeczy nowych dodają do tych dawnych, kt $\acute{o$ re od samego Boga pochodzą. O t \acute{e} m, co si \acute{e} dzieje z człowiekiem, gdy go złożą w ciemnym, zimnym grobie, powiem ci całą prawdę, synu m \acute{o} j. Duch, to, co w nas myśli i żyje, rozstaje si \acute{e} w \acute{o} wczas z martw \acute{e} m ciałem i idzie do innego świata, na sąd Boży. Tam w \acute{a} ż \acute{a} uczynki jego dobre i złe, a wedł \acute{o} g tego, czy dobre, czy złe przeważają, duch cieszy si \acute{e} szczęśliwością na ł \acute{o} nie Boga, lub odtrącony jest na wieki od oblicza jego. Lecz przyjdzie czas, gdy duch połączy si \acute{e} z ciałem na nowo i ży \acute{c} b \acute{e} dzie, i nie umrze wi \acute{e} c \acute{e} j.

— Pamiętajcież — mówił kr $\acute{o$ l Menes — zachowajcie starannie ciało moje od zepsucia, aby duch, gdy powr \acute{o} ci, zastał je w całości. Napuśćcie je balsamami, wymurujcie gr \acute{o} b suchy i obszerny w skale... a takż \acute{e} — dodał gasnącym gł $\acute{o$ sem — nie zapomnijcie o niewolniku, kt $\acute{o$ ry mi \acute{e} przyni \acute{o} sł na barkach. Przrzekłem mu swobodę, niech obietnica b \acute{e} dzie spełniona i niech mu dadzą pokarmu na drog \acute{e} , aby m \acute{o} gł powr \acute{o} ci \acute{c} do swoich.

To były ostatnie słowa konającego. Kt \acute{o} ż wie, czy ten czyn miłosierny, spełniony w przedśmiertnej chwili, nie by \acute{l} policzony na sądzie Bożym za największą zasługę z cał \acute{e} go życia wielkiego kr $\acute{o$ la Menesa, kt $\acute{o$ ry zwyciężał liczne miasta, podbił ludy, założył starożytn \acute{e} państwo egipskie i zbudował wspaniałą stolicę Memfis.

PODPORA MATCZYNA,

powieś \acute{c} z czas \acute{o} w dawniejszych.

OPIAROWANA WŁADYSŁOWI RATAŃSKIEMU.

przez M . . a.

(Dalszy ciąg).

Tak krzyczał Marek, jęcąc i kł \acute{n} ąc na przemiany, i wijąc si \acute{e} w boleściach straszliwych. Wład w pierwszej chwili pragnął jedynie nieś \acute{c} mu pomoc, pot \acute{e} m, słuchając jego nieprzytomnych prawi \acute{e} majaceń i wyznań, wrywanych boleścią, opuścił r \acute{e} ce i stał chwilę zadumany, słuchał uważnie i nagle skoczył, wołając:

— Na miłość Boską, matko, staraj si \acute{e} go

*) Historycy starożytni wspominają dawne podanie, wedł \acute{o} g kt $\acute{o$ rego kr $\acute{o$ l Menes pożarty by \acute{l} przez krokodyla.

utrzymać przy życiu, jeżeli ci dobra sława ojca jest miłą! i z tym dziwnym okrzykiem dopadł Wład młodego swego konika i popędził w dostępną część puszczy, która Okragłą Łąkę łączyła z zamieszkałym światem.

Nikt nie zrozumiał tego okrzyku, patrzano za Władem z przerażeniem, nie wiedząc co myśleć. Jedna matka zrozumiała jego wolę i tém gorliwiej zajęła się Markiem.

I na nią z podziwem patrzano. Ale tymczasem słońce weszło nad śliczną łączką, krówki, i dzieci, i konie, zarówno wołały jeść, i mimo zgryzoty, dorośli ludzie musieli się zająć zaspokojeniem cudzych i swoich potrzeb. Pożar zagaśł zupełnie. Pani Wanda niezliczoną ilość razy przychodziła do Trzaskowej, chcąc ją namówić do spoczynku i ofiarując się zastąpić ją w czuwaniu przy cierpiącym, ale to było napróżno. Trzaskowa nie odstępowała chorego ani na chwilę, wierząc w rozum syna, a nie pojmując dokładnie jego myśli. Sądziła, że człowiek wyniesiony z ognia na jego barkach musiał być jakimś przyjacielem Trzaski i dla pamięci męża czuwała nad nim tém troskliwiej, choć i nad każdym nieszczęśliwym czuwałaby także.

— Czekajcie-no — mówiła — niech Władek powróci z doktorem, a pójdę spocząć. On pewno pojechał po doktora — i nie odstępowała chorego, czuwając nad nim troskliwie. Kto wie, czy bez tych jęj starań dożyłby był powrotu Włada z doktorem. Z doktorem istotnie przybył, ale także z kilku przedstawicielami władzy z najbliższego miasteczka i proboszczem własnej parafii.

Trzaskowa odsunęła się wtedy od chorego, robiąc miejsce doktorowi, gdy wtém najniespodziewaniej strzelec Wład stanął nad chorym i rzekł:

— Człowiecze umierający! w imię Boga Wszemocnego zaklinam ciebie, mów, co wiesz o człowieku zabitym z rzemieniem odciętem od torby? mów, dla czego przyszedłeś tu po to, ażeby nas spalić? mów, dla czego my, dzieci Jana Barskiego, mamy być przeklęci, ponieważ twoje dzieci zmarły? Mów!... Ja o tamtym człowieku zabitym, z rzemieniem odciętem od torby z papierami i pieńdzmi, słyszałem od czasów mego dzieciństwa, mów, przez Boga, co wiesz o nim!...

Umierający zerwał się:

— Tyś Jan! tyś Jan i odpowiesz mi za dzieci moje! — krzyknął, rzucając się ze strasliwą kłutwą ku Władowi; Wład cofnął się spokojnie, a tamten padł na ziemię bezsilny, z jękiem i kłutwą na zamierających ustach. Wtedy przystąpił do szamocącego się w bólu i rozpaczy proboszcz staruszek i począł doń przemawiać prostemi, chrześcijańskimi słowy. Mówił o miłosierdziu,

o przebaczeniu, ale i o zadosyć uczynieniu za grzechy i wyznaniu win, bo przez drogę Wład odpowiedział mn wszystkie swe myśli, powstałe przy nieprzytomnych chorego wykrzyknikach, a ksiądz znał dobrze Włada... Mówił serdecznie, ale mowa jego nie przenikała do zatwardziałej duszy Marka. Marek kłął, tarzając się z bólu i oczy zasłaniając, nie przed księdzem, lecz przed Władem.

Wszyscy stojąc z daleka i rozmaicie rozumiejąc tę scenę, patrzyli na nią z przerażeniem, gdy nagle jedenastoletnia Stasia, wychowanka puszczy i Pisma Świętego, na którym w braku innej książki matka ją czytać uczyła, rzuciła się na kolana przed chorym, leżącym na środku łąki, i wznosząc ręce i oczy do nieba, zawołała:

— O wielki Boże! dajże wyjść okrutnemu szatanowi z tego opętanego grzesznika!

Biedna mała dziewczynka, naczytawszy się w Piśmie Ś-tém o opętanych, a teraz słysząc z ust konającego niepojęte dla niej bluźnierstwa, wytkłomaczyła sobie, że on musiał być opętany, i dla tego zanosła taką serdeczną za nim prośbę do Boga. Ona nie rozumiała nic więcej. A przecież odezwa jęj dziwne miała skutki. Bo dziwne i straszne są myśli i uczucia konającego. Marek zerwał się jeszcze raz z ziemi z przerażeniem, jakiego żadne pióro nie opisze:

— A może i ja opętany jestem! może to szatan tak mię kusil!... — zawołał, łamiąc ręce, ludzie! słuchajcie spowiedzi mojej! szatan chce wyjść, niech idzie! Ja to zabiłem człowieka na stacyi z Lublina do Warszawy, ja podrzuciłem przy nim pugilares Barskiego, aby na niego padły podejrzenia, bo chciałem się zemścić za to, że na jego skargę wypędzono mię i dzieci moje przez niego wtedy z zimna pomarły, chociaż im wódkę na rozgrzenie dawałem, gdy nie miałem drzewa kawałka!...

Mówiąc te słowa, umierający szarpał się znowu w boleściach, a obecni ledwo przez pół je rozumieli, bo nie wiedzieli, o co idzie. Jedna Trzaskowa wtedy już zrozumiała wszystko, upadła na ziemię i prosiła Boga o zupełne wyjaśnienie. Podczas gdy ksiądz poprzednio mówił, doktor przecież robił swoje, badając stan pacjenta. Prędko też poznał, że niema ratunku, a chory, czytający w oczach obecnych, zrozumiał stan swój!

Nie przyszło to od razu. Było już wtedy koło południa, gdy zmordowany strasznem cierpieniem i uwierzywszy, i czując sam, że niema dlań ratunku, Marek naprawdę pomyślał, że umrzeć trzeba, i z własnej woli wzywając do siebie to księdza, to doktora, w miarę jak zdawało mu się, że jest mu lepiej lub gorzej, odpowiedział urywa-

nemi słowy całą tą dziwną sprawę, w której naprawde, jak się czasem zdarza, więcej było zbiegu okoliczności, niż złości.

Stróż Maks, przezywający się, Markiem, stracił służbę w konwikcie z przyczyny, że dopuszczał się przeniewierstw i nadużyć. Oskarżył go Jan Barski nauczyciel, gdyż rzecz szła o dobro zakładu i uczniów. Stróż Maks rozpił się wtedy i dzieci pomarły mu z zaziębienia, gdy stracił miejsce. Jednak sam przyznawał, że Barski po kilka razy ostrzegał go, zanim oskarżył z obowiązku, dla dobra zakładu. Przypadek zdarzył, że obaj w jednym że czasie znaleźli się w Lublinie, gdzie Barski upuścił pugilares, a Marek go podniósł, wiedząc dobrze, kto go upuścił. Wracali też samą pocztą, a Marek trochę znów dla zimna podpiły, uderzył nożem, chleb krając, człowieka, który mu w oczy wychwalał nienawistnego Barskiego. Ujrzawszy, że tamten nie żyje, Marek wziął mu torbę z pieniędzmi i papierami, a pugilares umyślnie podrzucił, aby na Barskiego podejrzania zwrócić.

Wszystko, cała ta zemsta, choć się odwlokła, przecież się udała. Dopiero bowiem po latach całych upłynionych mściwy Marek odkrył schronienie biednego zbiega nauczyciela i naprowadził na niego żołnierzy. Zrazu był zadowolony. Dowiedział się jednak wkrótce, że rodzina uwięzionego żyje w lasach wciąż zamożnie, jeżeli nie szczęśliwie i zawrzał znowu gniewem; zapragnął mścić się i na niej. Znaleźli się też zaraz ludzie, nie znający prawa, którzy poduszczali go jeszcze do tego dzieła utrzymując, że majątek Barskiego powinien być skonfiskowany, i że musiano o nim nie wiedzieć chyba, a kto o jego istnieniu władzy doniesie, ten wynagrodzony będzie za to wykrycie. Trzeba było jednak najprzód przekonać się o istnieniu tego majątku. W tym to celu Marek nie wahał się wlec sam w lasy dalekie, aby na własne oczy ujrzeć ów majątek, o którym przesadne doszły go wieści.

Szedł nie bardzo pewien, czy mu się uda co zyskać, bo wątpił bardzo, aby o tém wszystkiém władza mogła nie wiedzieć, wątpił także, aby prawo karało rodzinę za winy jój głowy, ale zresztą nie miał o tém pewnych wiadomości. Chciał się mścić i postanowił podpalić nieszczęśliwą rodzinę, jeśliby inaczej szkodzić jój nie mógł. Zaledwie wszedłszy w puszcę złamał czy zwichnął nogę; mierzyl do Włada, poznawszy go z podobieństwa do ojca. Byłby dokonał swój zemsty, gdyby nie dziwne postępowanie Włada, które odjęło Maksowi rozum, przyprawiło go o wahanie, o chorobę prawie, bo o dziwne drżenie owo, i nie dało mu wyjść z przybudówki, gdy chciał dom podpalić.

Takie w treści swój były zeznania tarzającego się w bólach Maksa, dziwaczne, poplątane, ale wiarogodne. Jeden z urzędników spisywał je w miarę, jak były wymawiane w przytomności wszystkich. Maks cierpiał strasznie; nad wieczorem dopiero cierpieć przestał. Na chwilę przed skonem, jak to często bywa, odzyskał zupełną spokojność umysłu, wezwał Włada, i uroczystie polecił mu przeprosić ojca i jego samego o przebaczenie prosił. Łagodne słowa proboszcza przekonały go nareszcie, że wina śmierci jego dzieci ciążyła na nim samym, nie wypełniającym obowiązków, nie zaś na tych, którzy je wypełniali. Z ostatnim promykiem dnia Maks oddał ostatnie tchnienie.

Zapóźno już było i zbyt niebezpiecznie jechać nocą przez puszcę, przeto przybyli urzędnicy zanołowali u Stachów. Goście spali dobrze, ale prawie wszyscy miejscowi przepędzili noc tę bezsennie, Trzaskowa z bijącym trwogą i nadzieją sercem na kolanach ją przetrwała, modląc się. Stasia przestraszona i zdumiona dziwnymi odkryciami, których ani przez pół nie mogła rozumieć, zapowiedziała, że oka tej nocy nie zmruży, ale zasnęła twardo snem młodocianym, zaledwo głowę przyłożywszy do poduszki. Stachowie oboje, wtajemniczeni w przeszłość i nieszczęście Trzasków, wzruszeni byli i sami nie wiedzieli, czy cieszyć się, czy też smucić mają, bo przewidywali zmiany dla sąsiadów, z któremi było im dotąd tak dobrze.

Tymczasem Władek zamknął się z księdzem proboszczem i jednym z urzędników, i długą miał z nimi naradę. Potem, gdy goście zasnęli, on na chwilę jedną zapukał do drzwi matczynj izdebki i wszedłszy ukląkł przed matką w milczeniu. Ona pobłogosławiła go, uściskała i załala się łzami. Potem Władek odszedł, nie mówiąc ani słowa. Oboje oni, syn i matka, zanadto byli dotąd nieszczęśliwi, aby mieli odwagę wymówić słówko o tej nadziei, która teraz przepełniała ich serca wraz z trwogą.

Nazajutrz o świcie, cicho, nie żegnając się z nikim, siadł Władek na konia, panowie, którzy z nim przybyli, siedli na wózek i pojechali. Ksiądz proboszcz tylko pozostał, aby oddać ostatnią posługę nieszczęśliwemu Maksowi, ale Władek wiózł z sobą i jego podpis wraz z innymi na protokóle, spisany wczoraj z zeznań umierającego. Przybywszy do miasta, dopełniono właściwych formalności, aby protokółowi temu wszelką nadać ważność i zawiadomienie o tém, co zaszło, wysłano natychmiast do właściwój władzy drogą urzędową. Wład ze wszystkiemi oszczędnościami, nagromadzonemi przez długie lata pracy, pędził teraz z temi papierami drząc cały... Wszyscy znający

teraz jego sprawę dodawali mu otuchy, ale nieszczęśliwemu zarówno prawie trudno uwierzyć w szczęście, jak znosić nieszczęście. Przytém, dawno nie było żadnej wiadomości od Jana Trzaski, więc nie wiedziano nawet, czy był jeszcze przy życiu.

jechać i że ja będę podporą matki, dopóki on nie wróci!—rzekła Stasia z pewną dumą w głosie, stając przy matce, ale zaraz dodała smutno:

— Powiedział, że pojedzie, ale nie powiedział kiedy, a teraz wyjechał tak, że go nawet nie pożegnałam.—dokończając tych wyrazów, Stasia szy-



Jesień (str. 602).

Gdy Władek odjeżdżał z Okrągłej łąki, Trzaskowa, skryta za firanki w swój izdebce, błogosławiła go raz jeszcze, łkając, a ze łkań wydzierają jój się tylko te wyrazy:

— Podporo moja!...

— Władek mi powiedział wczoraj, że musi

bko otarła oczy fartuszkim, bo pomyślała, że podpory powinny wspierać płaczących, ale samym im płakać nie wypada.

Stach poczciwy zajął się naprawą dworku Trzasków, z czém się sam ofiarował Władowi, aby przyspieszyć jego odjazd. W tydzień później by-

ło znów cicho i zielono na okrągłej łące i żadnego śladu nie pozostało po owęj burzliwej nocy. Władek tak zawsze miał na myśli swą podróż, tak zawsze wszystko do niej przygotowywał, że teraz matka zaopatrzoną była we wszystkie konieczne potrzeby na czas jego nieobecności.

— Ale co będzie, jeśli ta nieobecność się przeciągnie?

Takie pytanie kołatało nieustannie w sercach matki i siostry. Stachowie, mimo najlepszych chęci, pracowali sami ze wszystkich sił na własną liczną rodzinę, dwie sieroty, spadające im na ręce, byłyby za ciężkiem brzemieniem. Mniej jednak o to wszystko dbano, ważniejsze było to, co dzieje się z Władkiem i z kimś jeszcze... Powinnaby już przyjść dotąd wiadomość, a nie przychodzi...

Tak dumały dwie sieroty, matka i córka, siedząc w ganeczku, ze łzami w oczach, wypatrzonych w stronę puszczy, w której znikł koń unoszący Władka.

— Matko! Ksiądz proboszcz! — szepnęła obumierającym głosem Stasia, na widok wysuwającego się z gęstwiny wózka. Trzaskowej usta zbieleły bo na wózku istotnie siedział tylko sam jeden ksiądz proboszcz. Ale poczciwy staruszek spostrzegł kobiety i zaczął machać białą chustką w powietrzu. One zerwały się, ale Trzaskowa osunęła się bezsilnie napowrót na ławkę, modląc się w pół głośno, tylko Stasia pędem biegła ku proboszczowi, a wtém z gęstwiny wysunął się drugi wózek, w nim siedziało dwóch ludzi... Ci ludzie byli to Trzaskowie, a raczej Barscy, Jan i Władysław, ojciec i syn.

W tydzień dopięro od dnia pamiętnego ludzie, mieszkający na Okrągłej łące ochłonęli o tyle z radości i łzawego wzruszenia, że mogli spokojnie, bez płaczu, patrzeć wzajem na siebie i mówić z sobą. Wtedy też nareszcie odrzekł Jan Barski na niespokojne pytanie Stacha:

— Czy wrócę między ludzi? pytasz, ale ja jestem między jedynymi ludźmi, którzy przyjęli mię jak brata, gdy inni odepchnęli lub ścigali. Tu zostanę. Tu odżyłem po tej śmierci moralnej, jaką mi tam zadano. Tu wychował mi się syn na podporę matczyną i na mego wybawcę z nieszczęścia.

(D. n.).

J E S I E Ń.

Nieza długo minie lato
I jesień nastanie,
Już posępna chmurek szatą
Kryje swe ubranie.

Ale jesień z sobą niesie
Trudów swych owoce,
Jak je zbierać w polu, w lesie,
Człowiek się kłopoce.

I wy, dziatki ulubione,
Pomyślcie też, proszę,
Jak ubiegło latko one,
Obfite w rozkosze?

Czy niesiecie ojcom, matkom,
Owoc waszjej pracy,
By nie czynić wstydu chatkom,
Żeście „jacy tacy”... *)

Azet.

MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA.

Zwyczaje ludowe jesienne.

Pogańscy Słowianie, praojcowie nasi, już od niepamiętnych czasów byli ludem rolniczym; zmiany pór roku miały też w oczach ich ważne bardzo znaczenie z tego względu, że uprawa zboża do nich się musi stosować i wszystkie święcili solennymi religijnymi obrzędami. Opowiadaliśmy już czytelnikom naszym o uroczystościach zimowych, wiosennych i letnich, teraz z kolei wspomnimy o jesiennych. Ślady ich przechowały się także w zwyczajach ludowych, owych dożynkach, wieńcach z kłosów, pieśniach i tańcach, chociaż to, co było niegdyś obrzędem religijnym, dziś jest już tylko wesołą zabawą.

Na nieszczęście ci starożytni Słowianie pisać nie umieli, a z upływem czasu i zaprowadzeniem wiary chrześcijańskiej, dawne podania prawie do szczętu zagięły. Uczeń ludzie usiłują jednak i te resztki ustnych podań zebrać i wysnuć z nich jakiegokolwiek wyobrażenie o mitologii słowiańskiej. U nas pisał o tém dość obszernie p. Bronisław Grabowski w Tygodniku Powszechnym, my też głównie z tej pracy czerpiemy wiadomości, które podajemy w naszym Piśmie.

Zakończenie żniw było u dawnych Słowian uroczystym świętem, obrzędy miały na celu dziękczynienia dobroczynnym bóstwom za otrzymane dary i uproszenie urodzaju na rok następny, przy czém odbywały się rozmaite wróżby. W stariej kronice duńskiej przechował się nawet ciekawy opis podobnej uroczystości na wyspie Rugii, w Arkonie, starożytnym słowiańskim grodzie, gdzie była sławna świątynia Swantewida, bóstwa słońca. Posąg tego bóstwa miał cztery twarze, patrzące na cztery strony świata.

*) Wiadomo, jak Krakowiaci wypierają się w piósenko, iż nie są „jacy tacy“.

Otóż na początku jesieni, po ukończeniu żniw, zbierało się w Arkonie mnóstwo ludu, niosąc do świątyni przeróżne ofiary. Był tam przedewszystkiem ogromny kołacz, dochodzący wielkości człowieka, zaprawiony słodkim miodem. Ustawiano go na ołtarzu, a kapłan wchodził pomiędzy posąg i kołacz. Wówczas lud zebrany w świątyni uważał, czy kołacz całkowicie zakrył postać kapłana, uważano to bowiem za dobrą wróżbę urodzaju na rok następny. Niedziw więc, że starano się, aby ten kołacz miał jak największe rozmiary. Potem następowały modły dziękczynne i prośby o nowe dary. Swantewid trzymał w ręce róg potężny, który co rok w tym dniu napełniano świeżym miodem. Kapłan wyprowadzał też wróżby i z tego, ile miodu wyszło w tym rogu od zeszłorocznej uroczystości. Po modłach, następowały uczty i zabawy rozmaite.

Nie ulega wątpliwości, że obchód dożynek jest wspomnieniem tych starożytnych pogańskich obrzędów. Owe wieńce ze zboża, które dziś żniwiarze i żniwiarki przynoszą właścicielowi wioski, w której pracowali, dawniej zapewne składane były kapłanom w świątyniach. A trzeba wiedzieć, że tylko Słowianie północno-zachodni, Pomorzanie i Połabianie, to jest zamieszkali nad morzem Bałtykiem i Elbą, mieli osobną klasę kapłanów, u innych urząd ten pełnili zwykle starsi pokolenia, ojcowie rodzin. Możemy więc przypuszczać, że ci dawni, pogańscy żniwiarze, tak zupełnie, jak i dziś, nieśli wieniec z kłosów i snop przewiązany kwiatami do gospodarza, ten zaś, będąc zarazem kapłanem, ofiarował te dary bóstwu i przewodniczył w modłach i uctach obrzędowych. Dziś gospodarz chrześcijański zawiesza wieniec obok obrazków świętych, oddając mu zawsze niejako cześć religijną. Śpiewane przy dożynkach piosenki są już zastosowane do dzisiejszych okoliczności, dawniej musiały być na cześć bóstwa układane, ale na nieszczęście nie pozostało z nich żadnego śladu. W poczęstunku i tańcach niema już także nic pogańskiego, a jednak i to musi być zabytek dawnych czasów, bo wszelkie religijne obrzędy u pogan zawsze z tańcami i ucztą bywały połączone.

Tak jak starożytni Grecy mieli swoje *najady*, *dryady*, wodne i leśne boginki, tak i Słowianie wierzyli w różne podrzędne bóstwa, przewodniczące zjawiskom przyrody. Do dziś naprzykład w niektórych okolicach Słowiańszczyzny przechowało się zabobonne wyobrażenie o duchach, ukrywających się w zbożu; nazywają je dziadami albo babami zbożowymi. W czasie żniw duchy te mają niby to uchodzić ciągle przed sierpem i chować się w pozostałych na pniu kłosach, dopiero z ostatnim snopem wpadają w ręce człowieka. Ztąd pochodzi

zapewne zwyczaj ludowy ubierania ostatniego snopa w suknie męskie lub kobiece. Są znowu miejscowości, gdzie ostatek kłosów pozostawiają namięślnie na polu, aby duchy miały schronienie do następnego lata. Nietylko ostatni, ale i pierwszy snop ścinany bywa niekiedy z pewną uroczystością przez gospodarza lub gospodynię i oddzielnie przechowywany.

Już sama nazwa *zboża* dostatecznie dowodzi, jaką czią ten dar Boży otaczany był u Słowian. Lud nasz zabobonne niemal poszanowanie okazuje dla ziarna zbożowego i chleba. Wieśniak nie pozwala się rzucić na ziemię najdrobniejszej okruszyny chleba, a dzieci surowo są napominane, jeśli to uczynią przez nieuwagę lub kaprys. Nieraz widzieć można staruszki, które zbierają z ziemi okruszyny, przypadkiem spadłe ze stołu, i rzucają je w ogień, aby broń Boże kto na nie nie stąpił. Możliwe nawet przypuszczać, że czynią to na pamiątkę tych prastarych czasów, gdy ognisko, jako symbol bóstwa, za ołtarz było uważane.

I w innych zabobonnych pojęciach ludu uczeni ludzie upatrują zabytki czasów pogańskich. Wszystkie ludy pochodzenia aryjskiego, o czém już nieraz wspominaliśmy czytelnikom naszego Pisma, przywędrowały do Europy z dalekiego Wschodu, z Azji, w podaniach więcich przechowały się wieści o krainie, gdzie słońce silniej przygrzewa, gdzie niema srogięj zimy. Krainę tę nazywano *wyrajem*, jakby rajem utraconym i wyobrażano sobie, że leży, już niema ziemi, lecz za morzami powietrznymi, to jest za obłokami i chmurami. Więc w przecuciu przykręj i dłużej zimy, gdy bóstwo światła i ciepła utraci siły, ptactwo odlatywać miało do owego bajecznego *wyraju*, państwa słonecznego, z kąd bóstwo słońca wychodzi codziennie na wędrówkę po szklanęj górze, czyli sklepieniu niebieskiem. Do wyraju szły także dusze zmarłych na wiekiuste mieszkanie. Ptactwo skrzydlate spędzało tam tylko zimę, a na wiosnę powracało znów na ziemię, niosąc, według podania czeskiego, nasiona różnych roślin. Z tej wędrówki poza chmury i obłoki urosło podanie ludowe, że jaskółki zimują na dnie wody, a z wiosną wylatują z tych kryjówek swoich.

O gadach jest znów podanie u Słowaków, że mają na zimę podziemne schronienie. Na złotym stole spać tam mają wszystkie węże pozwijane w kłębki, po samym środku leży wąż ogromny. Z wiosną budzą się mniejsze węże i sykiem pytają owego starego, swego wodza, czy już czas? Budzi się nareszcie stary, a jak tylko syknie: „już czas!” wszystkie węże wylażą na świat Boży.

Często w pogodne dni jesienne widzieć można sunące się w powietrzu cieniutkie niteczki paję-

czyny; jest to robota małych pajęczków, które i same unoszą się na tych nitczkach, jakby na małych balonikach. Pogańscy Słowianie uważali te nici, pospolicie zwane babiém latem, za przędzę obłocznych dziewic, które nosiły nazwy *Doli*, *Niedoli*, *Rojenic*. Były to boginie losu, podobnie jak Parki w mitologii greckiej, przędły one nić ludzkich przeznaczeń. Ztąd przechował się pomiędzy ludem przesąd, że taka nić babiego lata szczęście przynosi temu, do kogo się przyplącze. Ta nazwa *baby*, dziś w pogardliwém znaczeniu używana, u dawnych Słowian była mianem bogiń.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

Zniknięcie zwierząt i sług miało w sobie coś tak tajemniczego, że nie wiedzieli wcale, co o tém myśleć. Dla czego pakunki opuszczone zostały? Czyby Makalolosy ukradli zwierzęta? Czyby Kongo i Facetan sprzeniewierzyli się panom? Trudno to było przypuścić, ale gdzie się podzieli?

Czekano czas jakiś, w nadziei doczekania się czegoś. Czas upływał, ale nikt nie wracał; ani ludzie, ani woły, ani konie, ani psy.

Paki z kością słoniową zostały nietknięte. Jeżeli skradziono zwierzęta, dla czegożby zostawiono to, co kosztowniejszém od nich było?

Słońce zachodziło, nieobecność Williama poczynała niepokoić trzech towarzyszy naprawdę. Należało rozpocząć poszukiwania. Ale w którą stronę je skierować? A jednak trzeba było działać. Za nadejściem nocy, Hans pozostał na straży przy girafie, a Henryk i Arend udali się do miejsca, na którém Williama z oczu stracili.

Ledwo milę ujechawszy, spotkali Konga i Facetana. Psy szły za nimi, z opuszczonemi w dół ogonami, ze zwieszonemi uszami. Dwaj myśliwi przyskoczyli do swych służących i zarzucili ich pytaniami:

— Gdzie William? Gdzie są zwierzęta? Dla czego opuściliście obozowisko? Gdzie są Makalolosy?

Wszystkie te pytania tak gwałtownie uczyniono dwom przybywającym, że ci, nie wiedząc na które odpowiadać, rzekli tylko:

— Tak!

— A będziesz ty mówił po ludzku! — krzyknął Henryk zniecierpliwiony, że nie otrzymuje upragnionej odpowiedzi.

— Tak, panie, cóż ja mam mówić? — odrzekł Facetan.

— Gdzie jest William?

Facetan zamyślił się, jakby na trudne w istocie pytanie odpowiedzieć, a tymczasem wyrzekł Kongo:

— Nie wiemy!

— Ha ha! — rozśmiał się Facetan — jakto stary szaleńcze? Owszem, panie, widzieliśmy przecież, jak pan William pojechał z wami dziś rano polować na girafy.

Młodzi ludzie drżeli z niecierpliwości, zanim nareszcie po długich usiłowaniach potrafilo wydobyc jakiejkolwiek wiadomości.

William nie powrócił wcale. Dwaj krajowcy nic o nim nie wiedzieli tak, jak i sami myśliwi. Zwierzęta pasąc się odeszły daleko od obozu, Makalolosy pojechali po nie i nie wrócili. Facetan i Kongo przyznawali, że zdrzemnęli się trochę tymczasem. Przebudziwszy się, spostrzegli nieobecność zwierząt i Makalolosów i poszli ich szukać. Znaleźli Makalolosów, ale zwierzęta zabrali Beczuani z sąsiedztwa. Ta strata głęboko dotknęła Makalolosów. Ze strachu bali się wracać do obozu, i zatrzymali się o dwie mile poniżej biegu rzeki. Zamierzali powrócić do rodzinnej krainy w przekonaniu, że biali myśliwi teraz nie zechcą ich zatrzymać przy sobie. Młodzi myśliwi wtedy dopiero spostrzegli, jak nieostrożnie postąpili, pozostawiając namiot i całe obozowisko bez dostatecznej opieki, i to w pośród afrykańskich pokoleń wielce wątpliwiej uczciwości. Beczuani, odznaczający się wrodzonym usposobieniem do okradania się wzajemnie, nie śmieliby jednak może rabować własności białych, gdyby ci stali przy niej na straży. Ale gdy znaleźli bogaty łup, strzeżony tylko przez czterech krajowców z nieznanego plemienia, a więc nie mających prawa znajdować się na ziemi Beczuanów, wtedy trudno im było wyrzec się doskonałej sposobności obłowu. Co się stało, przepadło. Ważniejszém było na teraz odszukanie Williama.

Noc zapadała. Młodzi myśliwi musieliby odłożyć poszukiwania do dnia, gdyby byli sami, ale w towarzystwie Konga i psa Szukaja udali się w drogę natychmiast. Ciemność stała się wkrótce tak głęboką, że Arend radził zaczekać do świtu. Henryk i Kongo nie przystali na to.

— Czy ty zapomniał, jak ci było owéj nocy, którą to przebyłeś w towarzystwie nosorożca, ukryty pod drzewem? — zapytał Henryk.

— Dosyć, ani słowa więcej; jedźmy dalej — rzekł Arend. Facetana odesłano do namiotu, aby zawiadomił Hansa. Kongo i Szukaj poszli naprzód. Za wskazówkami Henryka prędko doszli wszyscy do miejsca, w którém widziano po raz ostatni Williama.

Uciecha, z jaką młodzi myśliwi wracali niedawno do obozowiska, zmieniła się teraz w głęboki smutek. Williamowi musiało się wydarzyć coś złego; zwierzęta skradzione; ujęcie młodej girafy nie miało obecnie żadnej wartości w obec strat tak wielkich.

Smutno rozmyślając nad tem wszystkiem, Henryk i Arend w milczeniu postępowali za Kongiem i jego psem.

LVI.

Za Williamem.

Kongo prawdopodobnie miał szczególniejszy jakiś sposób porozumiewania się z psem swoim, Szukaj biegł naprzód, zbaczając nieustannie, to na lewo, to na prawo, a nos trzymając przy ziemi. Czasem trudno go było nawet dostrzedz w ciemności, tylko cień jego przemykał w poprzek drogi od czasu do czasu, dysząc głośno i wężąc na sposób właściwy psom tego rodzaju. Nagle zaszczekał krótkim, urywanym głosem.

— Znalazł ślad! — zawołał Kongo, biegnąc ku niemu — wiedziałem, że go znajdzie, bo mu to przykazałem.

Szukaj szedł wolno, wachając trawę tu i ówdzie, jakby na dowód, że się nie myli. Szukaj różnił się w tém od wielu swoich braci ogarów, że nie opuszczał myśliwych, rzucając się za śladem. Noc była tak ciemna, że nie było można dostrzedz śladów stóp na ziemi.

— Jakże możesz wiedzieć, że jesteśmy na dobrej drodze, Kongo? — zapytał Henryk.

— Szukaj wie — odrzekł Kongo. — Znajdzie on wszystko, co tylko przeszło przez tę trawę.

— Ale czy pewny jesteś, że on idzie za śladem nóg konia Williama?

— Tak, panie Henryku. Szukaj nie jest przecie zwyczajnym bydlęciem. Rozumie on doskonale, czego od niego żądamy.

Zaufawszy mądrości Kafra i jego psa, dwaj myśliwi powściągnęli konie, i krok za krokiem przebywali z godzinę też samą przestrzeń, jaką William przebył w ciągu kilku minut. Przyszło im na myśl, że wróciwszy teraz do obozu, możeby tam już zastali Williama, czekającego z kolei na nich z utęsknieniem. Potężna burza zbliżała się, utrudniając niezmiernie poszukiwania. Ale wszelkie względy i wahania pokonywała myśl, że William może znajduje się w tej chwili w najwyższym niebezpieczeństwie i wygląda pomocy.

Przynaglono psa, bo każdy wiedział, że burza zatrze i odświeży grunt, a odszukanie śladów stanie się wówczas niemożliwe. Wkrótce niebo rozwarło swe upusty. Młodzi ludzie postępowali

ciągle naprzód, wiedzeni uczuciem obowiązku i przyjaźni.

Natychmiast po burzy, Szukaj zaczął okazywać niepokój i wahanie; najoczywściej nie był już pewnym zatartych śladów. Przez pół godziny postępowano w takich ciemnościach, że tylko przy świetle błyskawic jeden myśliwiec mógł drugiego dojrzeć.

Nareszcie niebo wypogodziło się, księżyc zająśniał, i możnaby było prowadzić dalsze poszukiwania, gdyby po ulewnym deszczu jakiegokolwiek ślady mogły jeszcze istnieć. Pies biegł teraz w kółko, jak nieprzytomny, jakby nagle najgłośniejszy zmysł swój postradał.

— Już po wszystkiem! — rzekł Henryk z rozpaczą. — Ślad zaginał! Próżno szukamy; wracajmy do namiotu.

Była to rozsądna rada, miano już pójść za nią, gdy nagle w niewielkiej odległości w tyle usłyszano ryk lwa. Wracać, było to wpaść w lwie pazury.

— Staralem się ochronić moję strzelbę od deszczu — rzekł Arend — ale jęj mimo to nie ufam; wolę nabić na nowo.

Odsłoniwszy kawałek lamparciej skóry, którą nakrył strzelbę, Arend podniósł lufę w górę i wystrzelił w powietrze. Jakby w odpowiedzi na strzał dał się słyszeć w oddali głos ludzki.

Myśliwi poskoczyli w kierunku tego okrzyku, poprzedzani przez psa, który nagle przestał się wahać. W dziesięć minut stanęli przy Williamie, szczęśliwi, widząc go całym i zdrowym i w posiadaniu młodej girafy.

— Odkąd ty tak trzymasz tę girafę? — zapytał Henryk, po przejściu pierwszej chwili wzruszenia.

— Od południa — odrzekł William.

— A dopóki byś pozostał tutaj, gdybyśmy nie przyszli?

— Do śmierci girafy, lub mojej własnej. Nie porzuciłbym jęj żywej, nigdy. Ale czemuż który z was nie położy się tu i nie trzyma jęj na mojem miejscu? przecież ja potrzebuję się rozprostować, inaczej nigdy już chyba nie będę mógł powstać na nogi.

Henryk natychmiast zajął miejsce Williama, a on, powstawszy z trudnością, i chodząc zwolna koło swęj girafy, a prostując się i przeciągając, oświadczył, że do owęj chwili nie wiedział jeszcze na prawdę, co to jest szczęście... teraz to uczył dopiero.

Postanowiono przepędzić resztę nocy na miejscu, ale nikt nie spał, wszyscy zarzucali się tylko wzajem pytaniami.

William zmartwił się stratą zwierząt jucznych,

równie jak i stratą swego wierzchowca, ale pocieszała go sówicie jego młoda girafa.

— Biedactwo jest już zupełnie przyswojone — rzekł. — Jeżeli nie odnajdę konia, to na nię jadę do Graaf-Reinet. Ale wrzódę poprobuję jeszcze schwycić drugą. Powiniennem i muszę mieć ich dwie. Wy i Hans powinniście się wstydzic tego, że we trzech nie podołaliście temu, co ja dokazałem sam jeden. Wypuściliście z rąk trzy młode girafy, gdy ja pochwytem jedyną, jaka znajdowała się w gromadzie, za którą gonilem.

Arend i Henryk zamienili z Kongiem znaczące spojrzenie. Kongo powiadomiony był o schwytaniu drugiej girafy, ale nakazano mu milczenie, aby sprawić niespodziankę Williamowi.

LVII.

Powrót tryumfalny.

Rano zajęto się przedewszystkiem sposobem uprowadzenia girafy. William dziwił się, czemu jego towarzysze nie mieli przy sobie swych rzemieni u siodeł, jak zawsze. Henryk odpowiedział, że zapomniano o nich przy śpiesznym wyruszeniu w drogę. Młodzi ludzie nie przewidywali wielkich trudności z prowadzeniem girafy, ale lękali się, czy będzie miała dość sił do drogi, gdyż była niezmiernie osłabiona. Mimo to, trudno było prowadzić ją bez sznurów ani rzemieni; któż mógł odgadnąć, czy nie przybędzie jęj nagle sił i ochoty do wydostania się na swobodę?

— Trzeba mi gwałtem rzemienia! — zawołał William — choćbym miał wyciąć go ze skóry waszych wierzchowców. Za wiele kosztuje mię to stworzonko, nazbyt daleko po nie przybyłem, abym miał teraz narażać się je utracić. Nasze zamiary są dopiero na wpół dokonane; byłaby dokonana i druga ich połowa, gdybyście wy zasługiwali na zaszczytne miano myśliwców.

O paręset metrów wznosił się śliczny młody las. — William uciał tam dwa długie pręty widłowato zakończone i objawszy temi widłami szyję girafy, a skręciwszy ich końce, urządził pewien rodzaj uzdy. Młode zwierzę za długo pozostawało w leżącej postawie, z trudnością teraz mogło się dźwignąć na nogi. Dźwignawszy się nareszcie, próbowało uciekać, ale słabe te usiłowania poskromiono natychmiast. Zaledwo girafa ruszyła się w jedną stronę, gdy już owa uзда pociągała ją w przeciwną. Biedne zwierzę prędko zrozumiało, że stojąc czy leżąc, zawsze jest w niewoli. Henryk i Arend, dosiadłszy koni, wzięli w ręce końce owych prętów, zastępujących sznury i tak poprowadzili girafę. William i Kongo szli pieszo za

nią, pilnując jęj z tyłu. W ten sposób udano się z powrotem ku obozowisku.

Podczas tęg drogi nieraz jeszcze William oburzał się na swych towarzyszy, utrzymując, że gdyby oni mieli tyle siły postanowienia i tyle wytrwałości co on, toby w tęg chwili wszyscy powracali do Graaf-Reinet z tryumfem.

— Ja — mówił gwałtownie William — byłbym pędził za tą girafą, dopóki by mój koń nie padł, a wtedy pędziłbym jeszcze za nią pieszo. Postanowiłem, że albo ją dostanę, albo sam padnę. Ach! gdybyż który z was miał choć isierkę mojęj silnej woli!

Arend i Henryk milczeli, pozwalając myśliwemu wylewać swą gorycz swobodnie. Byli oni zadowoleni z siebie, i dla tego przez wrodzoną także delikatność uczuć, nie oburzali się i nie dali wcale do zrozumienia Williamowi, że bez ich pomocy cała jego wytrwałość i silna woia na nicby się nie zdała, że straciwszy konia, byłby jeszcze zapewne i życie postradał. Wiedzieli oni, że uniesienie to, pochodzące ztąd, że zaniary jego w części tylko były spełnione, uspokoi się wkrótce, a wtedy zacny przyjaciel odda im sprawiedliwość.

Radość wielkiego myśliwca przyćmioną była jednakże stratą wierzchowca. William pewny był, że gdyby odnalazł konia, upolowałby niezadługo i drugą girafę. Spozstrzegł ich dwie w głównej gromadzie wczoraj. Moznaby je wysledzić jeszcze. Ale jakżeby je dogonił i schwycił bez dzielnego konia?

Okolo południa doszli wszyscy do obozowiska, i tam William osłupiał, bo ujrział drugą młodą girafę przywiązaną do drzewa, a koło nię swego własnego konia. Konia przyprowadzili Makalolosy, napotkawszy go błąkającego się na łąkach, gdy sami wracali do obozu. Straciwszy swe zwierzęta juczne, dzicy stracili i ochotę zwiedzenia krainy białych. Istotnie niepodobna było iść dalej z pakami, pozostawało tylko wrócić samym. Ale dzicy nie chcieli odchodzić bez pożegnania z myśliwymi, rozpaczali więc całą noc nad swem położeniem, bo spodziewali się słusznych wyrzutów. Nie wiedzieli co czynić. O świcie spozstrzegli konia Williama. Gdy widzieli po raz ostatni wielkiego myśliwca, pędził on na tym koniu za girafami. Trudno było pojąć, jakim sposobem teraz mógł wierzchowiec błąkać się samotnie. Wiedząc, jak William cenił swego konia, dzicy postanowili mu go odprowadzić, aby przez to ująć go i otrzymać przebaczenie za swe poprzednie niedbalstwo. Tak się też stało.

Co do młodej girafy, przywiązanej obok konia, o tęg pochodzenie William ani pytał. Od trzydziestu godzin nie miał on nic w ustach. Nie mó-

Łamigłównki zgłoszkówn:

Jeruzalem
 Afryka
 Nabuchodonozor
 Kollątąj
 Altana
 Zorobabel
 Ilu
 Milord
 Hów
 Ernani
 Rumak
 Zenobia

Jan Kazimierz Marja Ludwika.

Odpowiedzi od Redakcji

Maryni S. w Antoninach. Spózniliśmy się bardzo z odpowiedzią, ale wiedzą o tēm dobrze kochani nasi korespondenci, że to była pora wakacyj, pora, w której i redakcja musiała sobie troszkę odpocząć. Odtąd już akurataniej odpisywać będziemy. Liścik porządnie napisany, z trafncm odgadnięciem zagadki historycznej o Karlińskim, wielką nam sprawił przyjemność; prosimy o nadesłanie obiecanych homonimów. Dobrze ułożone łamigłównki zawsze są pożądane, chociaż czasem, gdy ich się za dużo na raz zbierze, musimy kochanych współpracownikówn prosić o troszkę cierpliwości.

Maryni S. w Tykocinie. Rozwiązanie zagadki o Karlińskim trafne i bardzo starannie napisane, co tēm bardziej na pochwałę zasługuje, że jak to poznać łatwo, liścik kreśliła rączka niedużej dziewczynki. Prosimy bardzo o drugi liścik, na który już prędej odpiszemy.

M. S. Z takim podpisem otrzymaliśmy bardzo dobrą łamigłównkę w kwadraciku, którą chętnie wydrukujemy i to niezadługo, bo takich właśnie najmniej mamy w zapasie.

Leonkowi B. w Lubelskiem. Opis wycieczki wakacyjnej najchętniej w Pisemku naszym zamieścimy, choćby w niej nawet nie było żadnych przygód nadzwyczajnych. Wszakże prosiliśmy już nieraz wszystkich czytelnikówn naszych, aby nam podobne korespondencye przesyłali. Zdarzenia prawdziwe, opisy miejscowości widzianych na własne oczy, są zawsze zajmujące.

Wiktusi R. w Malińcach. Na wszystkie pytania kochanych czytelnikówn naszych najchętniej zawsze odpowiadamy. Gdzie idzie o czystość mowy, tam staranność nigdy nie może być zbyteczna, trudno też w krótkiej szkolnej gramatyce znaleźć wszystkie prawidła. Często bardzo to, co niektórzy uważają za mylkę, jest tylko bogactwem języka. Małecki pozwala mówić i *tym razem*, i *tą razą*, może nawet właściwiej jest mówić w rodzaju żeńskim, *tą razą*, gdyż raz

w rodzaju męzkim znaczy także uderzenie. W słowniku Lindego znajdują się oba wyrażenia: *tym razem* i *tą razą*, jako poprawne, nie można więc ani jednego, ani drugiego za omylkę uważać. Ale *ręka* jest zawsze rodzaju żeńskiego i *mylką* jest gramatyczną wyrażenie w *jednym ręku*, bo mówi się *w jednej ręce*. Można jednak powiedzieć i napisać *trzymałem w ręku*, bo to znaczy, że się trzyma w obu rękach. *Ręku* oznacza liczbę podwójną, lepiej więc nawet powiedzieć *trzymałem w swoich ręku*, aniżeli *w swoich rękach*, bo wyrażenie w *rękach* oznacza liczbę mnogą w ogóle, a w *ręku* dwie tylko własne ręce. Wielką nam sprawiają przyjemność kochani korespondenci, ile razy podają nam sposobność rozjaśnieni podobnych wątpliwości, gdyż i reszta czytelnikówn z tego skorzysta.

Maryankowi Z. w Żytomierzu. Ukazało się właśnie w handlu księgarskim nowe wydanie Historii polskiej Zdanowicza, o którą nieraz nas zapytywano. Brak tej wyborniej historii od dawna dotkliwie czuć się dawał.

Wandzi S. Przyrzeczenia dotrzynamy i w tym roku jeszcze damy obszerniejsze opowiadanie o królu Janie III. Cieszymy się, że kochani czytelnicy tak skwapliwie się o nie upominają. Zagadka historyczna, ukazuje się właśnie w Nrze niniejszym, nie chcieliśmy w czasie wakacyj i letnich wycieczek zatrudniać czytelnikówn temi zagadkami, ale teraz znów będą podawane raz po raz.

Leosi B. w Odesie. Cierpliwości, troszeczkę cierpliwości, a wszystkie obietnice spełnimy. Powiastka naśladowana z angielskiego jest już w pogotowiu i jedynie dla braku miejsca dotąd nie mogła być rozpoczęta, ale w tym roku się ukaże niezawodnie.

Notatki bibliograficzne.

Zwycięztwo Jana Sobieskiego pod Wiedniem 1683 r. opowiedział Lucyan Tatomir, z hymnem na cześć zwycięzcy śpiewanym w Rzymie. Kantatę ułożył Jan Czubski. (Książeczka ta jest wydana nakładem komitetu wydawnictw ludowych we Lwowie).

Cztery powiastki dla dzieci przez H. D. (Bardzo dobra i stosowna książeczka dla młodszej dziatwy)

Składnia polska, część trzecia gramatyki polskiej przez Józefę Maleczyńską.

Styl czyli nauka wysłowienia, oraz krótka wiadomość z nauki prozy i poezji, przez Józefę Maleczyńską.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



GRYMAŚNICA.

— Ja nie chcę chleba! i ta bułeczka
Także niedobra! ja chcę ciasteczka.
Tak grymaśnica mała mówiła,
Przyczém nieładnie buzię krzywiła.
— Czy zasługujesz, pomyśl-no sobie,
By zawsze tylko dogadzać tobie?
Czy za to pragniesz dostać ciasteczko,
Że wciąż grymasisz? czy tak, Haneczko?—

Mówiła Matka — wierz mi, kochanie,
Że się po woli twojej nie stanie.
Zresztą, uważam, zbytek to wielki,
By wciąż kupować ciastka, karmelki;
Szkoda doprawdy na to pieniędzy,
Gdy tylu ludzi dzisiaj jest w nędzy,
Gdy nieraz biednym nie starczy chleba,
Tobie koniecznie ciastek potrzeba!
O! nie, Haneczko, nie dam ciasteczka!
— To niech-że sobie leży bułeczka,

Bo ja jej zjadać nie myślę pewnie! —
 Niegrzeczna Hania wyrzekła gniewnie.
 — Niedobra jesteś! — Mama dodała
 I do koszyczka bułkę schowała.
 Czysta herbata mała posili,
 To też dziewczynka po pewnej chwili,
 Czując się głodną, rzecze: — Mateczko!
 Już się przeproszę może z bułeczką,
 Daj mi ją tylko! — Jakoś smakuje...
 Widać już w ząbki teraz nie kłuje.
 O! bo gdy komu głód raz dokuczy,
 Ten się grymasów pewnie oduczy!

Helena Bojarska.

PUDEŁKO CUKIERKÓW

KOMEDYKA W I AKCIE.

(Naśladowana).

O S O B Y.

PANI WOLIŃSKA.

ADELCA *jej córeczka, lat 8.*

MARYNIA, *siostrzenica p. Wolińskiego, lat 9.*

WŁADZIO, *brat stryjeczny Adelci i Maryni lat 10.*

Rzecz dzieje się w mieście.

Teatr przedstawia pokój barwialny, ładnie umeblowany. Z trzech stron drzwi, z których jedne wychodzą na mały ogródek. Po lewej stronie pokoju wysokie ozdobne biurko.

S C E Ń A I.

PANI WOLIŃSKA. — ADELCA.

P. WOLIŃSKA *trzymając książkę w ręku.*
 Nie umiesz tych wierszyków, Adelciu.

ADELCA.

A ja ich się tak pilnie uczyłam.

P. WOLIŃSKA.

Nie znać tego, moje dziecko.

ADELCA.

Wie mama, to już chyba lalka temu winna!

P. WOLIŃSKA.

Jakto lalka? Wszak lalka mówić nie umie;
 jakimże więc sposobem przeszkadzać ci mogła?

ADELCA.

Źle się trzyma; muszę ciągle na nią uważać i łajać bez ustanku; doprawdy trzeba będzie w końcu jaką karę wymyśleć!

P. WOLIŃSKA.

Ej, Adelciu, nie bądź zbyt surową dla lalki; pamiętaj o tém, że i ty nieraz na mój gniew zasługujesz. Ale dajno mi historią Rzymską; zobaczę, czyś z uwagą przeczytała ten rozdział, który ci zadałam.

ADELCA.

O, z jaknajwiększą... Mateczko!

P. WOLIŃSKA.

Powiedzże mi: kto Rzym założył?

ADELCA.

Kartagińczykowie!

P. WOLIŃSKA.

Cóż znowu!

ADELCA.

Ach, nie! to Rzymianie wybudowali Kartaginę!

P. WOLIŃSKA.

Nie umiesz, Adelciu, historii. Trzeba, żebyś odczytała jeszcze ten kawałek, tylko z uwagą, moje dziecko. Ale zostawmy to na później, a porozmawiajmy o czém inném (*po chwili*). Powiedz mi, co się Bogu najlepiej podoba?

ADELCA.

Dobre uczynki.

P. WOLIŃSKA.

Słusznie, kochanko.

ADELCA.

Jednak, Mamuniu, zdaje mi się, że nie może mieć zasługi przed Bogiem ten, co je spełnia, bo po każdym dobrym uczynku tak nam się jakoś przyjemnie robi.

P. WOLIŃSKA.

Nie zawsze, niestety! Trzeba być prawdziwie dobrym i zacnym człowiekiem, by doznać przyjemności w pełnieniu dobrego.

ADELCA.

Co do mnie, Mateczko, ile razy dam co ubogiemu, taką czuję przyjemność, że miałabym ochotę ukłonić mu się i powiedzieć: mój ty panie żebraku, dziękuję ci, żeś to wziął odemnie.

P. WOLIŃSKA,

Bardzo mnie to cieszy, Adelciu. Ale ponieważ tylko co była mowa o Bogu, powiedz mi, kogo też kochać powinnaś najbardziej?

ADELCA.

O, wiem doskonale! Mamę!

P. WOLIŃSKA.

Nie, Adelciu, zastanów się!

ADELCA.

A no, to Ojczulka!

P. WOLIŃSKA.

Jeszcze nie! Boga, kochanko, Boga!

ADELCA.

A prawda... Bóg jednak tak dobry, że mi przebaczy chyba to, co przed chwilą powie-

działam, że najwięcej kocham Mamcię, nieprawdaż?

P. WOLIŃSKA.

Bez wątpienia. — I ja cię bardzo kocham, drogie dziecię i dla tego właśnie pragnęłabym, żebyś grzeczną, posłuszną i pracowitą była, a nadewszystko, żebyś starała się poprawić z wad twoich.

(D. c. n.)

DOBRY KAZIO.

Antoś i Kazio bawili się w konie.

— Wio! a ruszajże kłusem! A teraz truchtem! A teraz galopem! — wołał Antoś, który udawał woźnicę, trzaskając z bicza dzielnie, ale prztem za cinając Kazia tak mocno, że temu biednemu koniowi aż lzy w oczach stawały. Ale Kazio nie był mazgajem, powstrzymywał więc lzy.

— No, teraz ty będziesz koniem — rzekł po niejakiem czasie. Antoś zgodził się, jak należało, i pozwolił się zaprządz porządnie.

— Wio! a ruszajże kłusem! A teraz truchtem! A teraz galopem! — wołał Kazio z kolei, dzielnie także trzaskając z bicza, ale prztem zacinął konia tak delikatnie, że choć krzyku i machania biczem było co niemiara, jak być powinno, to przecież koń ledwo że czuł bicza dotknięcie.

Gdy potem znów Antoś z konia przeszedł na woźnicę, to cały czerwony był ze wstydu, i choć nic nie powiedział, to już zawsze odtąd, bawiąc się w konie, udawał tylko, że bije i hałas robił, jak przystoi w tój zabawie, ale nigdy nie bił naprawdę.

Co jest niepotrzebne.

Fruzia szyła fartuszek dla lalki, a Zuzia czytała książkę. Po chwili, podniosłszy oczy na siostrzyczkę, rzekła Zuzia:

— Moja Fruzio, porzuć też to szycie, bo aż mi wstyd, że moja siostra nic nie umie, tylko gałganki strzępić, a żadnej porządnej książki nie zna.

— Moja Zuziu — odpowie Fruzia — porzuć też tę książkę, bo aż mi wstyd, że moja siostra nic nie umie, tylko czytać, a sukienki sobie zaszyć nie potrafi, jakby nie dziewczynką była.

— A mnie — dodała Mama — wstyd jest, że córki moje nie wiedzą jeszcze o tém, że

i szycie i czytanie jest koniecznie potrzebne, a tylko przykre słówka niepotrzebne są wcale, szczególniej też pomiędzy siostrami.

JÓZIA W KRAINIE LALEK,

wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg.)

Otumaniona temi dziwami Józia, dopiero teraz spostrzegła, że grzeczny kupiec surowo przecież przemawiał jakoś do owęj dziewczynki japońskiej, która przed chwilą wszedłszy z mieszkalnej części domu, powiedziała coś do kupca i widocznie musiała być jego córeczką, a teraz stała smutno z oczkami spuszczone na swe pantofelki: widocznie kupiec łajał córeczkę. Józi żał się jęj zrobiło serdecznie, lecz nie wiedziała, o co chodzi, bo Józia nie rozumiała wówczas wcale po japońsku, tylko przez państwa Poncetów porozumiewała się z Japończykami, i Józi rodzice tak samo. To też i teraz Matylka objaśniła, że kupiec łaje córeczkę za to, że z wielkiego pośpiechu, ujrzawszy w sklepie cudzoziemskie panienki, wysła do nich nie skończywszy ubrania.

— Przecież ona ubrana! — rzekła Józia.

— Tak, ale o najgłówniejszej rzeczy zapomniała — powie Matylka — nie wzięła wysokich pantofelków, jakie przystoją jęj szlacheckiemu pochodzeniu, tylko proste płaskie pantofle, a teraz ona tłómaczy się przed ojcem, że nie wybiegła wcale z własnej woli, tylko na rozkaz matki, która kazała donieść ojcu, że obiad jest gotowy.

Właśnie gdy Matylka tłómaczyła Józi rozmowę ojca japońskiego z córeczką, kupiec obrócił się do swoich gości i zaprosił ich wszystkich na obiad. Józia aż podskoczyła z radości usłyszawszy, że sprawdzi się jęj marzenie i że zasiądzie do prawdziwej japońskiej uczy dla lalek. A jednak, gdy wszyscy wchodzili do mieszkalnego pokoju, Józia rzuciła pełnem żałości okiem na sklep, prawie jeszcze nie obejrzany. Ale popatrzawszy w głąb przyległego pokoju, zapomniała na chwilę o wszystkim. Znajdowała się tam już liczna gromadka dzieci. Ich matka żywo prosiła gości, aby weszli, nie zważając już na maty, gdyż Japończycy umieją szanować obce zwyczaje i wiedzą, że w Europie nie zdejmuje się obuwia, wchodząc do domów. Mimo to Japonka uściskała serdecznie obie dziewczynki europejskie, gdy zrzuciwszy słomiane pantofelki

w korytarzyku, weszły boso a ochoczo na miękką, lśniącą, jedwabistą matę. Józia dowiedziała się, że japońskie panie pyszną się swojemi matami i dbają o nie niezmiernie, a ich piękność stanowi dowód zamożności domu i staranności gospodyni i jest jej mniej więcej takim obowiązkiem, jak utrzymanie w porządku stołowej bielizny dla europejskiej gosposi.

— Jeżeli wy umiecie stosować się do naszych zwyczajów, to i my przez dzieci nasze przynajmniej do waszych się stosujemy, — powiedziała pani Poncet z uśmiechem, a Japonka, ściskając panienki, rozśmiała się także wesoło, pokazując śliczne i zdrowe, ale sztucznie poczernione zęby. Na środku pokoju leżała teraz jeszcze prześliczna jedna mata, upleciona ze słomek tak cienkich, że naprawdę podobną była do pięknego złotistego obrusa. Na środku tego obrusa ustawiono na pięknej szkatułeczce starożytny pradziadowski, niezmierniej wartości wazon, a w nim ulubioną ozdobę japońskich mieszkań, gałąź obsypaną ogromnym kwiatem. Stało to na słomianym obrusie tak, jak u nas ustawia się także bukiety i ozdoby na stołach obiadowych. Na około, na macie słomianej, tak, jak my stawiamy talerze, tam stały małe naczynia porcelanowe z uszkami, podobne do filiżanek, było ich tyle, ile miało być biesiadników, a przy każdym leżała ślicznie złożona jedwabna serwetka, którą dopiero wzięwszy do ręki Józia spostrzegła, że była z rodzaju mocnej jedwabnej bibułki, a Japończycy używają takich serwetek zupełnie, jak my naszych.

Obok stały dla każdej osoby kieliszeczki wielkości naparstka i szklaneczki prawie takich samych rozmiarów. Stały też cudowne maleńkie, jakby wieżyczki z przedziałkami na około, a w każdej przedziałce, dużej jak groch, była jakś mocna korzenna przyprawa, jak pieprz, sól i dużo innych, nawet z nazwiska nieznanym Józii. Te cudne wieżyczki były więc tém, czem solniczki nasze, a całe ze wszystkiemi przedziałkami nie przechodziły wielkości filiżanki. Dalej stały jedne przy drugich poustawiane prawdziwie, jakby dla lalek przygotowane półmiski, pełne najrozmaitszych, niepodobnych do odgadnienia potraw gorących, a było tego tak dużo, że Józia zliczyć ich wśród błyszczącego drobiazgu tej zastawy nie podołała. W samym zaś środku tego stołu, koło bukietu, stały trzy główne potrawy, bez których nie może się obejść żadna uczta

japońska: imbryk z herbatą na precudownej jakiejś podstawie, która cała doskonale udawała wulkan, a żarzyły się w niej węgle na prawdę; ryż gorący w prześlicznym porcelanowym naczyniu, podobnym do puharu dosyć sporego nawet, bo ryż to grunt tutaj; i żywa ryba w głębokiej, porcelanowej, przezroczystej wanienczce, z której napróżno usiłowała wyskoczyć, rzucając się okropnie.

(D. c. n.)

Zagadka.

Co to jest takiego, co się błyszczy pięknie,
Co jest szklane, nieraz naciśnięte pęknie,
Co do strojów służy, jak to wszyscy wiedzą,
Lecz gdy leży w żłobie, to krowy to jedzą?

Łamigłówka liczbowa (Natalcia O.).

Ułożyć z 11 liter nazwisko hetmana z XVII wieku. Przekładając litery otrzymamy:

8, 7, 9, 10, wyrób owadów.

6, 5, 9, część twarzy.

1, 2, 3, 4, 10, 7, owoc.

5, 6, 2, zaimek.

8, 11, 6, 5, napój.

9, 5, 8, 2, ptak.

7, 10, 5, narzędzie zmysłu.

10, 5, 4, 7, część każdego pojazdu.

1, 2, 6, imię.

Rozwiązania do N-ru 36-go:

Zagadki:

T a t a r k a.

Łamigłówki zgłoskowej:

Jakuck

Algier.

Niagara.

Memfis.

Arbuz.

Telsze.

Ezaw.

Jaspis.

Karnak.

Ostrogski.

Jan Matejko — Kraszewski.